

eleWator

kwartalnik literacko-kulturalny
nr 9 (3/2014) – lipiec/wrzesień 2014
ISSN 2299-5692
copyright © eleWator, Szczecin 2014

redagują:

Marcin Bałczewski (komiks), Andrzej Fogtt (sztuki plastyczne),
Krzysztof Lichtblau (sekretarz redakcji), Paweł Nowakowski (proza),
Paweł Orzeł (film, redaktor naczelny), Karol Samsel (eseje i szkice),
Kamil Sipowicz (muzyka), Leszek Szaruga (krytyka literacka,
zastępca redaktora naczelnego), Adam Wiedemann (poezja)

stali współpracownicy:

Edward Balcerzan (Poznań), Łeś Belej (Kijów), Jakub Bińkowski (Londyn),
Paweł Dunin-Wąsowicz (Warszawa), Izabela Fietkiewicz-Paszek (Kalisz),
Anna Frajlich (Nowy Jork), Krzysztof Hoffmann (Poznań),
Artur Daniel Liskowacki (Szczecin), Beata Patrycja Klary (Gorzów Wielkopolski),
Monika Petryczko (Szczecin), Małgorzata Południak (Dublin),
Andrzej Wasilewski (Paryż), Tadeusz Zubiński (Ryga, Benicarló)

redakcja techniczna: Iwona Kępisty

korekta: Anna Borowicka i Anna Nowakowska

obrazy na okładce: Marek Ruff i Magda Pietrucha

obrazy w numerze: Marek Ruff

zdjęcie na 216 stronie: Andrzej Łazowski (www.lazowski.eu)

redakcja i wydawca:

Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy

71-246 Szczecin, ul. Eugeniusza Romera 10e

www.elewator.org / pnowakowski@elewator.org

www.fundacja-berezy.org / biuro@fundacja-berezy.org

Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów, skracania
oraz redagowania tekstów, o ile nie wypacza to sensu oryginału.

druk: KAdruk, Szczecin

publikacja współfinansowana ze środków Miasta Szczecin
oraz Stowarzyszenia Gmin Polskich Euroregionu Pomerania
dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

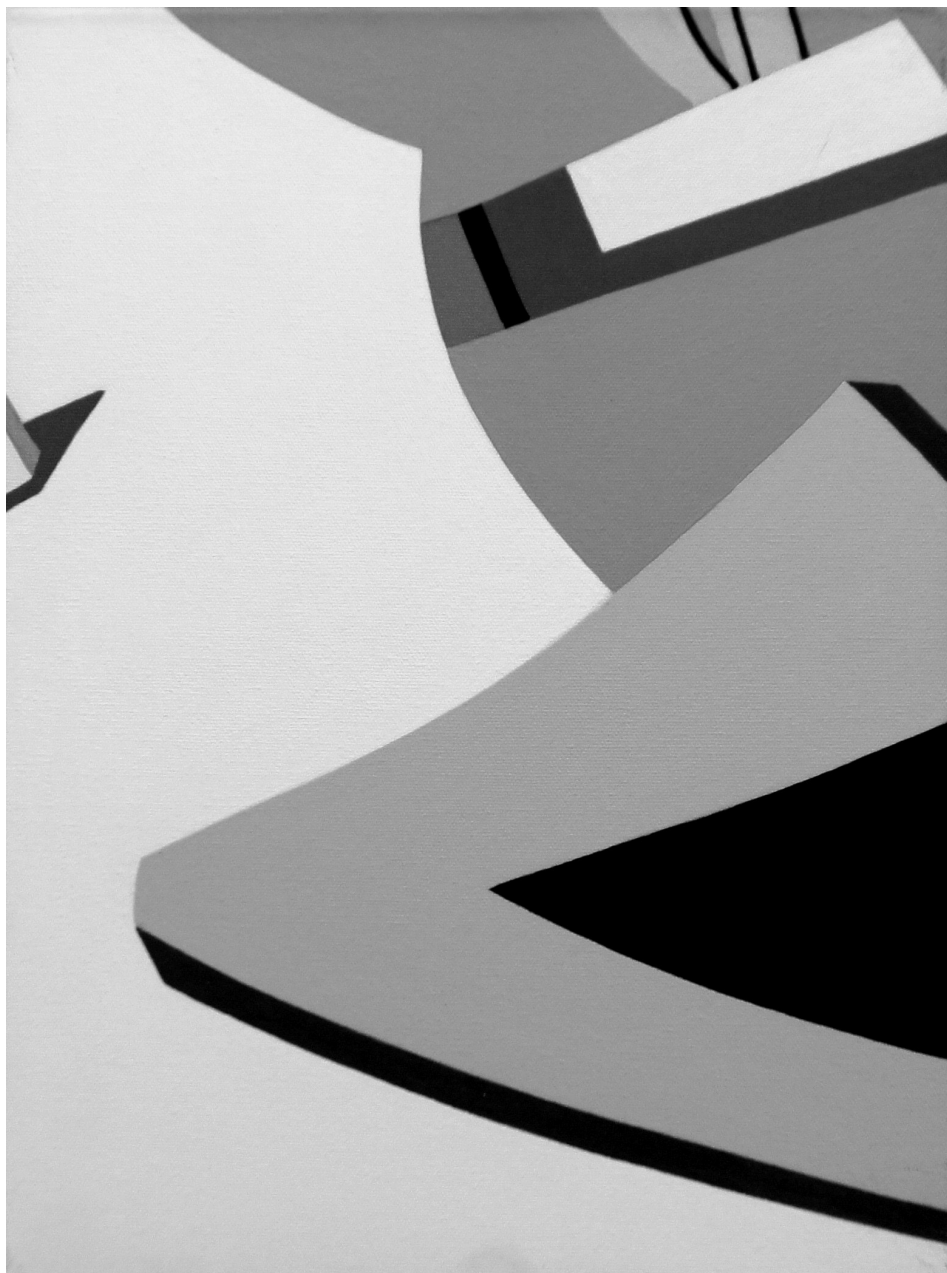


Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



granice	5	Bogdan Prejs, sylvia plath nie zmrużyła tutaj oka
	6	Marta Zabłocka, Przywiązywania i odrywania
	11	Przemysław Czapliński, Transgresje i mediacje
	17	Tadeusz Zubiński, Biała partyzantka w nadbałtyckich lasach
	27	Diana Wasilewska, Przekraczanie estetyki. Abject art, czyli sztuka (nie)smaczna
	35	Ewa Elżbieta Nowakowska, Podgórze wielokrotnych granic
	38	Agata Balsamo, Patrz jak ci każe, czyli o ramie dzieła literackiego w <i>Wyzwoleniu</i> Stanisława Wyspiańskiego
	45	Agata Jankowska, Potwór, który jest w nas. O dehumanizacji we współczesnych narracjach
	52	Patrycja Chajęcka, Syndrom granicy. Notatki o <i>Krótkim podręczniku przekraczania granic</i> Gazmenda Kapllaniego
	56	Konrad Zych, Przyjdzie gonzo i nas zje, czyli tajna historia pewnej granicy
	62	Krzysztof Lichtblau, Ghostwriter, czyli o granicach autorstwa
	66	Izabela Pajdała-Kusińska, Musisz zmrużyć powieki. Rozmyślania o decentryzmie i sztuce
	70	Andrzej Turczyński, O tamtejszości. Esej przygraniczny
	87	Piotr Michałowski, Epoka „Pograniczny” i jej pogranicza
proza	93	Daniel Podolak, Ten uśmiech, na który wszyscy czekamy
	98	Kazimierz Kyrz Jr., Barbarella
poezja	99	Rafał Rutkowski, Jeżeli istnieje, Demencja, Wielki Gender, Stany skupienia, Próby rzeczy, Parasol
	102	Tytus Kaleta, *** (Zima niczym pchnięcie nożem...), Martwy język
proza	104	Marek K.E. Baczewski, Opowiadania krótkie
poezja	109	Dariusz Sośnicki, Zaproszenie, Wtedy, W podmiejskim warsztacie, Czarna Madonna z Centry, Siła odśrodkowa, Trochę z życia, trochę z Iwaszkiewicza
epistoły	113	Henryk Bereza, Listy do poetów: do Dariusza Sośnickiego
dziennik	118	Kazimierz Brakoniecki, W Kurlandii (fragmenty)
z Paryża	136	Andrzej Wasilewski, Ontologia w Paryżu. Alain Badiou
z Londynu	146	Noil Branc, Przyczyna różności
sztuki	149	Joanna A. Kościelna, Kogo inspirują <i>Inspiracje</i>
plastyczne	152	Andrzej Fogtt, Granice w sztuce
i architektura		

krytyka literacka	154	Konrad Liskowacki, Siberia by car, czyli Amerykanin w Rosji (Ian Frazier, <i>Podróże po Syberii</i>)
	157	Krzysztof Maciejewski, Duchy szaleństwa (Hiromi Kawakami, <i>Manazuru</i>)
	158	Maja Staśko, 2014: Odyseja kosmiczna (2014. <i>Antologia współczesnych polskich opowiadań</i>)
	163	Tymoteusz Milas, Zagłuszyć śmierć mamy (Anna Augustyniak, <i>Kochałam, kiedy odeszła</i>)
	165	Urszula Orlińska-Frymus, Bo my to nie oni (Paulina Wilk, <i>Znaki szczególne</i>)
	168	Emilia Walczak, Na makiecie, czyli nigdzie (Joanna Dziwak, <i>Gry losowe</i>)
	169	Leszek Engelking, Polowanie na cudowność (Agnieszka Taborska, <i>Nie tak jak w raju</i>)
	171	Ewelina Chodakowska, Pogodny pesymizm według Bałczewskiego (Marcin Bałczewski, <i>Eva Morales de Nacho Lima</i>)
	172	Monika Głosowicz, Błyski ulotne (Julia Hartwig, <i>Błyski zebrane</i>)
	174	Beata Patrycja Klary, Mam się nie posiadać, czyli o tym jak wszystko zależy od poprowadzenia opowieści (Arkadiusz Kwaczek, <i>Arkadiament</i>)
	176	Anna Łozowska-Patynowska, Przekroczyć tekst? (Teresa Rudowicz, <i>Błędne Ognie</i>)
	178	Marek Olszewski, Naturalnie (Bartosz Suwiński, <i>Uroczysko</i>)
	180	Justyna Kasperek, Ilo/razy (Agnieszka Mirahina, <i>Widmowy refren</i>)
	182	Leszek Szaruga, Pro / za i przeciw. 3 – Sprawy (nie)prozaiczne (Małgorzata Rejmer, <i>Bukareszt. Kurz i krew</i> , Krzysztof Varga, <i>Czardasz z mangalicą</i> , Taras Prochaśko, <i>W gazetach tego nie napiszą</i>)
	186	Paweł Orzeł, Przed wojną: Z gotyckiego kurzu... (Edna Lyall, <i>Droga do raju</i>)
	189	nadesłano
komiks	190	Marcin Bałczewski, Café Budapeszt – wszędzie znaczy nigdzie (Alfonso Zapico, <i>Café Budapeszt</i>)
	191	Marcin Bałczewski, Smutna opowieść w oparach jazzu (Howard Cruse, <i>Stuck Rubber Baby</i>)
muzyka	193	Monika Petryczko, Yukimi Nagono znów nienaganna, a Little Dragon inny niż zwykle, smutniejszy niż zawsze (Little Dragon, <i>Nabuma Rubberband</i>)
	195	Tadeusz Hnat, Konkretnie Marchetti (Lionel Marchetti, <i>Une saison</i> , Lionel Marchetti, Jean-Baptiste Favory, <i>100 000 Années</i> , Xavier Charles / Jean-Philippe Gross / Frantz Hautzinger / Lionel Marchetti, <i>Tsstt!</i>)
	198	Monika Petryczko, Fink nie próżnuje (Fink, <i>Hard Believer</i>)
stałe felietony	200	„szpargalia odzyskana” – Paweł Dunin-Wąsowicz, Targ śniadaniowy
	202	„poza mainstreamem” – Izabela Fietkiewicz-Paszek, Powroty Alicji, czyli o wierszach Magdaleny Krytkowskiej
	204	„omsknięcia” – Ks. Andrzej Luter, 1, 2
	206	„w swoim tempie” – Krzysztof Hoffmann, Wolne słowa
	208	„dlaczego nie jestem malarzem” – Małgorzata Południak, Świat słów, milczenia i muzyki
	211	„bez przesady” – Edward Balcerzan, Internet, piekło Horacego
	215	Konkurs Literacki imienia Henryka Berezy „Czytane w maszynopisie”, Edycja 2, 2014 – nominacje
	215	VII Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Refleksy”



Marek Ruff, „Oaza”, 40,0 x 30,0 cm, akryl na płótnie, 2013

Marek Ruff (ur. w 1957 r. w Warszawie) – malarz. Dyplom uzyskał na Wydziale Malarstwa ASP w Warszawie, w pracowni profesora Jacka Sienickiego (1987). Współtwórca międzynarodowej grupy artystycznej „Decentryzm” (Polska, Francja, Niemcy, Litwa i Argentyna), stworzonej na podstawie manifestu Adama Wiśniewskiego-Snerga *Moja koncepcja decentryzmu*. Brał udział w wielu indywidualnych i zbiorowych wystawach. Jest także członkiem dwóch grup artystycznych: „Grupy Hoovera” oraz „Grupy From”. Mieszka i pracuje w Warszawie.

sylwia plath nie zmrużyła tutaj oka

czas ponownie minął; było zbyt szybko i zbyt chmurno;
spotkałeś mnie za wcześnie, a może ja ciebie za późno,
choć nie wiem, czy to byłeś ty, czy może pijany waldek
czaił się za rogiem kamienicy. nieważne.

nieprawda, ważne jest każde słowo. cokolwiek napiszę,
mogę cię zranić. właśnie się obudziłem. żarówka iskrzy.
żarzy. nie mam pojęcia: świt czy zmierzch? dzień dobry,
a może dobranoc?

prześcieradło gładkie jak spod żelazka. skórę drażnią
drobiny szkła. pod tym kloszem nie doczekam.

Marta Zabłocka

Przywiązywania i odrywania

1.

Bycie w podróży to złudna wolność. Wlecze się za nami długi ogon przyzwyczajzeń, doświadczeń, stereotypów, zasłyszanych opinii, wcześniej przeczytanych lektur, obejrzanych migawek. Podróż to raczej wytrącenie z codziennej rutyny, niż zrzućcie kajdan przeszłości. Te pozostają z nami na zawsze, tylko łańcuch bywa z czasem coraz dłuższy. Od czasu do czasu szarpie on nami i to przyciąga, to oddala. Kiedy jesteśmy w drodze, świadomość wyostreza poczucie naszego ograniczenia. Wyrwani ze środowiska porzucamy grubą skórę nawyków i na jej miejsce tworzymy nowy rytm wytyczony wschodami i zachodami słońca, mieszczący się na siatce kartograficznej, w rozkładzie przyjazdów i odjazdów. Wymiary podróżnika też ulegają zmianie – są skromniejsze, czasem mieszczą się jedynie w bagażu podręcznym 55 x 40 x 23 o wadze nieprzekraczającej 10 kilogramów. Mimo tych granic, rozwijamy w sobie spiralę ciekawości, intuicji i zdolności bezinteresownego zachwyty.

Zamiast podróżować może lepiej antycypować podróż. Unikać szpetoty ludzi, brudu pociągów i trudu walki o bagażowego jak diuk des Esseintes. Mieszkający na przedmieściach Paryża znudzony życiem mizantrop podróżował, nie ruszając się z krześła. Wystarczył zakup „Przewodnika po Londynie” Baedekera, odwiedzenie winiarni, gdzie panowała dickensowska atmosfera, zamówienie zupy ogonowej, wędzonego łupacza, porcji pieczeni wołowej z kartoflami, dwóch pint i kawałka sera Stilton. Wszystko to w towarzystwie rumianych, krzepkich Angielek. A kiedy bohatera „Na wspak” Jorisa-Karla Huysmansa ogarnęła apatia i senność, zrezygnował on ostatecznie z podróży, obawiając się rozczarowań. Wrócił wraz kuframi, pledem, parasolką i laską do swej willi i już nigdy więcej nigdzie się nie wybierał.

Esseintes i tak wykazał się dużą odwagą, opuszczając próg domu. Blisko sto lat wcześniej (1790 rok) dwudziestosiedmioletni Xavier de Maistre decyduje się na samotną podróż po przestrzeni doskonale mu znanej, prywatnej, lecz wymagającej od obserwatora świeżego spojrzenia i dystansu. Tak powstaje pierwsza książka „Voyage autour de ma chambre” („Podróż dookoła mojej sypialni”). Po sukcesie tej publikacji, osiem lat później, autor przyodziewa różowo-niebieską bawełnianą piżamę i rozpoczyna kolejną wyprawę – tym razem nocną, z punktem docelowym koło parapetu okna. Na relację nie trzeba długo czekać – powstaje „Expédition nocturne autour de ma chambre” („Nocna wyprawa dookoła mojej sypialni”). Bez map, sekstansów, choroby lokomocyjnej, ciężkiego bagażu, paszportu, wiz, obowiązkowych szczepień i licznych wydatków, de Maistre zapoczątkowuje nowy typ podróży: podróże pokojowe. Oferta ta przeznaczona jest dla tych, którym brak odwagi, sił i środków finansowych na dłuższe eskapady. W białoróżowej pościeli, jak przekonuje autor, zażyjemy snu spokojnego z erotycznymi marzeniami pod powiekami. Daleko od sztormów, złodziei portfeli, grząskich dróg, zmian pogody i nieprzyjemnych współtowarzyszy podróży. Dla jednych takie podróże to kpina z wysiłku, który trzeba wnieść wraz z pokonywaniem trudności, kłopotów i nie zawsze szczęśliwie kończących się przygód. Dla innych, jak na przykład Nicolasa Bouviera, jednego z najznakomitszych podróżopisarzy XX wieku, to wysiłek ponad miarę. Dla tych, którym wystarcza odrobina wyobraźni i nieodrywanie tyłka od krześła, ma

duży szacunek: *To są siłacze. Ja – nie. Ja za bardzo potrzebuję tego namacalnego oparcia, jakim jest przemieszczanie się w przestrzeni*¹.

Łatwiej i prościej pokonywać bezdroża, rysując palcem po mapie. Któż z nas w dzieciństwie lub w czasie bezsenności nie sięgał po atlas, by leżąc na dywanie oddawać się podróżom kartograficznym. Wodząc wzrokiem po kolorowych plamach, abstrakcyjnych znakach i punktach, splecionych w siatce południków i równoleżników, udajemy się w podróże imaginacyjne. Kartkując strona po stronie, przemieszczamy się szybko, zmieniamy krajobrazy, klimaty, strefy czasowe, unikamy w ten sposób nudy towarzyszącej nieodłącznie byciu w drodze. Kierujesz palec na słowa, które wyrują się w pamięci na długo i będziesz powtarzać jak zaklęcia: Timbuktu, Galapagos, Orinoko... Nie wiesz, czy tam jest ładnie i kto na ciebie tam czeka – w myślach uruchamiasz już plan podróży wydrążoną w drewnie łódka, w wagonach pociągów towarowych, z psem i plecakiem przykrytym sporą warstwą laterytowego kurzu. Uruchamiasz wyobraźnię – słyszysz melodie, które tam rozbrzmiewają, widzisz spojrzenia, które na ciebie czekają, historie, które tam poznasz. Może nawet rozpoznasz głos, który wzywa znad kartek atlasu, by wyruszyć. Motywacja w tym wypadku bywa nieznana. Bo czy podróż wymaga uzasadnień? Jesteś młody, właśnie zdajesz sobie sprawę, że rozpoczynasz nowe, drugie życie, z dziewięciu, które posiadasz, mając kocią naturę. A tropy dobierasz sobie samodzielnie i na własną odpowiedzialność. Możemy podróżować, wyrывkowo odwiedzając choćby pięćdziesiąt wysp, na których nigdy nie byliśmy i nigdy nie będziemy, jak autorka „Atlasu wysp odległych”². Porozrzucane na mapie świata punkty mniejsze niż główka szpilki, pomijane lub siedzące na oślich ławkach stronic, tu grają pierwszoplanowe role. Niektóre dotąd niespenetrowane (Wyspa Piotra I), inne osierocone (Tromelin wśród Wysp Rozproszonych Oceanu Indyjskiego), znikające w morskich falach (Wyspa Takuu na Oceanie Spokojnym) lub będące rajami na ziemi (Pukapuka na Pacyfiku). Łatwo je eksplorować, posiłkując się listami zamorskimi, dziennikami pokładowymi, relacjami korsarzy. A może należy połączyć: pisanie z kreśleniem map, jak chce tego Rosi Braidotti, dla której nomada i kartograf idą naprzód ręka w rękę. Bo trudno oswoić się ze świadomością ograniczeń, jakie występują w trakcie tworzenia opisu podróży. Choćby doświadczenie było namacalne, to jest męczące jak u Witolda Gombrowicza nad brzegiem oceanu w Mar de Plata: *Idę po plaży granicą owej piany i szukam w sobie właściwego uczucia, czego, czego więc masz doznać na piasku, który znów jest pod twoimi nogami, w zapachu rybim i słonym, na od zawsze tym samym wietrze? Czy może doznać wieczności? A może umierania? Lub Boga odkryć w tym? Doznać nicości własnej czy wielkości? Doznać przestrzeni lub czasu? Ale nie mogę... coś przeszkadza... ta jedna okropna rzecz... że to już znane, że niejednokrotnie, tysiącokrotnie było powiedziane... i nawet wydrukowane! A ja muszę być oryginalny!*³. Tak samo u Bouviera, któremu wydaje się, że używa słów, które obracały się we wszystkich ustach jak stare łyżki, a przecież chciałby z nich ułożyć coś świeżego. Dla niego istnieją takie dwa słowa-strażnicy: „niewypowiedziany” i „nieopisany”, a za nimi nie ma już tekstu⁴. Niektóre granice trudno przekroczyć.

¹ N. Bouvier, *Oswajanie świata*, il. T. Vernet, przeł. K. Arustowicz, Warszawa 2005, s. 47.

² J. Schalansky, *Atlas wysp odległych*, przeł. T. Ososiński, Warszawa 2013.

³ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953-1956*, Kraków 1989, s. 188.

⁴ N. Bouvier, *Drogi i manowce. Z Autorem rozmawia Irène Lichtenstein-Fall*, przeł. K. Arustowicz, Warszawa 2002, s. 70.

2.

Barwna i tania, napisanie jej nie wymaga zbyt dużego wysiłku, bo i miejsca mało. Najczęściej wysyłał do rodziców: z podróży do Stambułu ze starymi domami, z Sardynii z widokiem na wyspę Figarolo, z mozaiką z Dionizosem z Mykonos w Grecji. Żonie słał z Kabulu obrazek z wielbłędami, kochankowi katedrę w Akwizgranie, przyjacielowi kompotierkę ze złota wysadzaną brylantami, a Susan Sontag fresk „Ostatniej Wieczerzy” w monastyrze Stawronikita. Na pocztówkach Bruce Chatwin pisał krótko, dowcipnie, osobiście, by dalej móc pędzić w swojej podróży. Zatrzymuje się, pisze, rusza. Nie tylko w poszukiwaniu kolejnego cennego dzieła sztuki dla domu aukcyjnego Sotheby’s, czy dokumentując temat do tekstu dziennikarskiego. Jest naturalnym nomadą, włóczęgą niewierzącym w pracę żadnego rodzaju⁵. Wierzy w sakramentalne aspekty chodzenia, łagodność charakteru wędrującego, w konieczność przeżywania przygód, by móc poczuć chropowatą fakturę życia. Nawet nazwisko miało predestynować Bruce’a do krążenia po świecie, a nie stagnacji życiowej⁶. Szaleństwem dla niego jest siedzenie we własnym pokoju. Wówczas, zdaniem Chatwina, zaczynamy traktować siebie jak wroga, dręczeni jesteśmy przez mąry i introspekcje. W tekście „Świat nomadów to nie szaleństwo”⁷ wspomina pracę amerykańskich neurologów, którzy zbadali encefalografem mózgi podróżników. Czym się różniły od zjadaczy powszedniego chleba, pracowników w wytwórni tapet, mieszczańskich ojców i matek? Okazało się, że zmiany krajobrazu i pór roku pobudzają rytmy mózgu, a to prowadziło do dobrego samopoczucia i świadomości celu w życiu.

Nie lubił, gdy nazywano go pisarzem podróżnikiem. Wolął jak mówiono o nim (za Salmanem Rushdim), że jest badaczem-cyganem. Z jednej strony był uczonym poszukującym, z drugiej strony cechowały go: intuicja, świeżość spojrzenia, przewidywalność. Dla kogoś takiego nomadowie to przedsiónek do rajów. Ale chyba najbardziej do Chatwina pasuje preislamskie słowo: *qalandar*. Znajdziemy je w poezji perskiej i oznacza wędrujących mnichów, wolnych jak wiatr. Wiadomo, że nie poddawali się radykalnym regułom religijnym i nie spali nigdy dwie noce z rzędu w tym samym miejscu. Chatwin podszyty wiatrem z zapiskami w postrzępionych moleskinach snuje się po świecie, trochę szukając nomadów, ale częściej licząc, że będąc w ruchu odnajdzie siebie. Nie przywiązuje się do miejsca, a dom nie budzi emocji, chyba że jest w podróży, wtedy odczuwa go instynktownie. W podróżniku czasami można usłyszeć siedzącego w środku pustelnika, który tęskni za życiem osiadłym. Chatwin to raczej wędrowny ptak z imperatywem migracji i powrotu.

Podróżuje sam, bo nie lubi ludzi, którzy nie dotrzymują mu kroku. Zresztą woli być samotnym, aby móc swobodnie gonić za swoimi pasjami. Chodzenie dla niego to czynność święta, terapeutyczna, wręcz poetycka. W swej najbardziej skrajnej postaci blisko mu do sztuki derwiszy, gdzie w zakonach sufickich znane było pojęcie *sijahat*, czyli błąkanie się. To rytm chodzenia, który ma doprowadzić do zerwania więzi ze światem i zatracenie się w Bogu. Ciało jeszcze na ziemi, ale dusza już po za nią. Pod koniec podróży derwisz przestaje być wędrowcem, jest samą drogą. Jest miejscem w ruchu, a nie zdążającym do celu. Czy Bruce osiągnął taki stan? Jedna z ostatnich podróży wiedzie go na świętą górę Athos. Zgodnie z ostatnią

⁵ B. Chatwin, *Pod słońcem. Listy*, wybór i redakcja E. Chatwin i N. Shakespeare, przeł. J. Kozak, Warszawa 2012, s. 210.

⁶ Nazwisko Chatwina miało pochodzić od staroangielskiego *chette-wynde*, czyli krętych ścieżek, wznoszenie się po spirali.

⁷ B. Chatwin, *Anatomia niepokoju. Pisma wybrane 1969-1989*, pod red. J. Borna i M. Gravesa, przeł. K. Puławski, Warszawa 2012, s. 116-123.

wolą Chatwin zostaje pochowany w Grecji w nieoznaczonym grobie w pobliżu zrujnowanej bizantyjskiej kaplicy.

Chatwin to nie tylko nomada, to również opowiadacz historii. Idąc i idąc, można swobodnie rozprawiać do woli – długo mówić, ale też długo słuchać. Taka sceneria to raj dla wrażliwców i gaduł. Z zapisków przyjaciół pojawia się obraz elokwentnego rozmówcy, zabawiającego towarzystwo anegdotami, wiedzą i ciekawostkami. Zdumiewał wymownością i siłą wyobraźni. Ale też dbał o sztukę przemilczenia. Wyłuskiwał myśli, doświadczenia i wrażenia, by móc je kolekcjonować i oprować pisarsko. Zagęszczał rzeczywistość, tak by unosił się nad nią duch metafizyki, a nie trudu i znoju podróży. Tworzy mit na temat samego siebie. Kiedy spisuje notatki z podróży do Patagonii, ma świadomość, że spogląda na przewędrowany świat przez splekane szkło kalejdoskopu, przez co opis bywa czasem przesadnie naświetlony. Afganistan, Iran, Grecja, Nigeria, Brazylia, Chile to kierunki i kultury, które Chatwin nomadyzuje w swych tekstach. Pamiętając o fragmentarycznym ujęciu świata, wędruje bez sentymentów od jednej do drugiej kultury. Pisanie to u Chatwina tylko zbiór kroków dokonanych podczas podróży. Ruch ten miażdży pisarza, unieruchamia piszącą rękę. Trzyletnia próba napisania „*The Nomadic Alternative*” połączona z wędrówką od jednego domu znajomych do drugiego spęza na niczym (przemieni się z czasem w „*Ścieżki śpiewu*”). Ostateczna konkluzja staje się dla Chatwina destruktywna dla niego samego. *Najlepsi podróżnicy są analfabetami*⁸, pisze.

3.

Idealnym podróżnikiem-nomadą jest dla Chatwina 55-letni Anglik, przedstawiciel firmy produkującej maszyny do pisania. Spotkał go w ambasadzie jednego z państw Bliskiego Wschodu przy Victoria Street. Handlowiec będący w nieustannej drodze nie miał rodziny ani bliskich, a cały majątek mieścił się w podręcznej walizce. Po dłuższej rozmowie okazało się, że w sejfie w Londynie trzyma małą czarną kasetkę z dokumentami. Cztery razy w roku otwiera ją i przegląda. Miś, zdjęcie ojca, medal, list od króla, biżuteria matki, pamiątka z podróży do Afryki. Coś z kasetki odkłada, coś dodaje. Drobiazgi stanowią centrum jego wędrownej orbity, są jasnym punktem tworzącym jego tożsamość. Dla Chatwina to najdoskonalszy przykład balansu życiowego między rzeczami i wolnością. To szansa na to, by oczyścić życie przed jego umeblowaniem – jak chce tego Bouvier. Tak jak życie na co dzień nie jest otwieraniem czarnej kasetki, tak podróż nie jest pasmem przyjemności. Wędrowanie nie jest przede wszystkim ciągiem zaskoczeń, przygód, przyjemności, zachwytów nad pięknem i rozkoszą zmysłów. To w przeważającej części pasmo tęsknoty za najbliższymi, trwonienia czasu, niezgody na niewygodę i ciągle opóźnienia. O tym najczęściej nie słyszymy w opowieściach podróżników, nie czytamy w relacjach z wypraw.

Czytanie, pisanie, łowienie ryb, wspinaczka na pobliskie pagórki, łyżwy, spacer po lesie – życie Sylaina Tessona skupione zostało na 15 czynnościach. W tak skromnych warunkach w 2010 roku spędził sześć miesięcy w chacie nad Bajkałem. I choć wcześniej nosiło go po świecie – z Alexandrem Poussinem odbył podróż dookoła świata na rowerze i przebył na piechotę Himalaje, z Priscillą Telmon konno przejechał trzy tysiące kilometrów z Kazachstanu do Uzbekistanu, przewędrował z Syberii do Indii tropem Sławomira Rawicza i jego „*Długiej drogi*” – to jednak pobyt w pustelni, życie eremity dało mu więcej. Wcześniejsza namietność do lotnisk zamieniona została na ogląd przez okno świata tundry. Podróże, które zaczynały

⁸ B. Chatwin, *Pod słońcem*, dz. cyt., s. 202.

się ucieczką a kończyły się wyścigiem z czasem zastąpił królestwem regularności, miejscem między dwoma bańkami klepsydry. Na skraj przyłądka Północnego Cedrowego zabrał niewiele: książki, cygara, sos tabasco i wódkę. Przestrzeń, cisza, przyroda i samotność już tam na niego czekały. I choć na początku nowa sytuacja przynosi mu rozkosz samotnej egzystencji, przyjemność nudy i władzy nad sobą, z czasem stwierdzi, że jest uwięziony w raj, który sam sobie stworzył. Sto dwadzieścia kilometrów od najbliższych zabudowań sprawia, że rzadko ktoś go odwiedza. Gdyby nie towarzystwo Ajki i Beka, psów, oszalałby. Gdyby nie wódka, niedźwiedzie, burze śnieżne i paryskie demony przeszłości, rozchorowałby się z nadmiaru piękna. Pustelnicтво to alternatywa dla tych, którzy znajdują ukojenie w rytmicznym pulsie wędrówki. Kiedy rejs wewnątrz własnych zakamarków zbliżać się będzie ku końcowi i nastaną ciepłe letnie dni, Tesson zwróci swą uwagę na najbliższych. Stwierdzi wówczas, że *był wolny, bo bez drugiego człowieka wolność nie zna granic*⁹. Szczęście, rozpacz, spokój – taką drogę pokonał, nie ruszając się z leśnej głuszy. Tuż przed powrotem do Paryża Tesson stwierdził, że już sama świadomość, że gdzieś w lesie stoi chata, przepełnia go radością.

Bo podróż choćby najdalsza dla włóczęgi jest stanem ducha, a nie czynnością. Dla Mariusza Wilka takim współczesnym wzorem podróżnika idealnego jest Kenneth White. To jego tropem pokonuje bezkresne białe przestrzenie w trakcie wyprawy na Labrador. Mimo najszczerzej chęci nie chce prześlizgiwać się po wierzchu, wolałby wchodzić głębiej w historie spotkanych po drodze Indian. Nie udaje mu się to. Jest skłonny przyznać rację White'owi, że w wielu miejscach trzeba pójść do muzeum, żeby zetknąć się z czymś żywym i prawdziwym. Tak jest w przypadku oglądania zbiorów rezerwatu w Mashteuiatsh wraz z Denise Robertson.

Przemierzanie szlaków swojego wnętrza i jednocześnie leśnych duktów to wspólna jedna droga. I jedną i drugą przemierza się niespiesznie. Im wolniej się kroczy, tym więcej się wie. Tym bardziej trafny wydaje się koan Jakusho Kwonaga dopisany ołówkiem na marginesie „Niebieskiej drogi” White’a: *Potrzebujemy drogi nie po to, aby iść stąd tam, ale żeby wrócić stamtąd – tutaj*¹⁰. Tylko czy możliwe są same powroty? Dla Wilka najważniejszym pojęciem w filozofii życia jest *tropa*, od pomorskiego *tropat*, czyli wydeptywać. Pojęcie to trudne, wymykające się definicji, zmienne na różnych etapach życia. Początkowo istotą było własne ego, potem stary dom nad Jeziorem Onieżskim, gdzie autor włóczył się, nie wychodząc z niego. Następnie udając się na Półwysep Kola, doświadczył *tropy*, która dla nomadów jest domem. Dzięki zakonowi koczowników pojął, że to nie on wydeptyuje *tropę*, tylko *tropa* wydeptyuje jego. Wtedy idzie się na kierunek, a nie do celu. Gdy urodziła się mu córka Martusza, *tropą* stała się ona. *To ścieżka życia wydeptana swoimi stopami do rytmu swojej krwi*¹¹ – pisze Wilk. Na końcu dochodzi do wniosku, że on *tropę* wydeptyuje w słowach. Okazuje się, że ta droga w zderzeniu z rzeczywistością jest bardziej prawdziwa od autentycznych przygód i wydarzeń. Opis podróży bywa bardziej realny i wiarygodny niż sama droga. Ta zaś bywa tylko pretekstem dla pisarza. Między życiem a tekstem Wilk widzi analogię – też występuje rytm brzmienia i sensu. W ten sposób dociera do stwierdzenia, że jesteśmy *tropą*, którą sami wydeptaliśmy. Wtedy granice poznania też ustawiamy sobie sami.

Marta Zabłocka
– dziennikarka
Informacyjnej
Agencji Radiowej,
współpracownik
rozgłośni Polskiego
Radia. Publikuje
w krakowskim
„Zdaniu”.

⁹ S. Tesson, *W syberyjskich lasach. Luty-lipiec 2010 r.*, przeł. A. Michalska, Warszawa 2013, s. 206.

¹⁰ M. Wilk, *Dziennik Północny. Lotem gęsi*, Warszawa 2012, s. 129.

¹¹ Tamże, s. 141.

Przemysław Czapliński

Transgresje i mediacje

Niniejszy tekst to tylko impresja. Impresja na temat doświadczania granic w kulturze polskiej.

Źródłem inspiracji stała się dla mnie książka Ewy Graczyk *Od Żmichowskiej do Masłowskiej. O pisarstwie w nadwiślańskim kraju*¹.

Autorka postawiła sobie pytanie, co począć z ograniczeniami ludzkiego życia. I w ramach odpowiedzi wyszła poza transgresyjny model interpretacji literatury – model, który ukształtował nie tylko Ewę Graczyk, lecz dwa pokolenia polonistów.

Transgresja i „Transgresje”

Kategoria transgresji istniała w polskiej humanistyce od dawna. Zasadna w kontekście romantycznych buntów religijnych, wzmocniona przez wczesny modernizm, a później przez filozofię egzystencjalistyczną, uwrażliwiała na ograniczenia kondycji ludzkiej i akty jednostkowego buntu. Moment wybuchu raptownej kariery i rychłej instytucjonalizacji owej kategorii przypadł na pierwszą połowę lat 80., kiedy to zaczęły ukazywać się kolejne tomy wpływowej serii gdańskiej.

W jej skład weszło pięć tomów:

– *Galernicy wrażliwości*, wybór, opracowanie i redakcja Maria Janion i Stanisław Rosiek, Gdańsk 1981;

– *Odmieńcy*, wybór, opracowanie i redakcja Maria Janion i Zbigniew Majchrowski, Gdańsk 1982;

– *Osoby*, wybór, opracowanie i redakcja Maria Janion i Stanisław Rosiek, Gdańsk 1984;

– *Maski*, t. 1-2, wybór, opracowanie i redakcja Maria Janion i Stanisław Rosiek, Gdańsk 1988;

– *Dzieci*, t. 1-2, wybór, opracowanie i redakcja Maria Janion i Stefan Chwin. Gdańsk 1988.

Seria ta zmieniła polonistykę. Nauczycielom (zwłaszcza akademickim) podniosła poprzeczkę, nakazując im wyjść nie tylko poza literaturę polską ku europejskiej, ale w ogóle wyjść poza literaturę ku piśmiennictwu – ku filozofii, antropologii, psychologii, socjologii. Studentom uświadomiła, że mieli rację, gdy idąc na polonistykę wierzyli, że wkraczają na ścieżkę ryzyka poznawczego. Z gdańskich książek dobiegało wezwanie do przekraczania ram obyczajowych i politycznych, do myślenia nonkonformistycznego, do życia z maksymalną intensywnością. Duch buntu egzystencjalnego zbiegał się z kontestacją reżimu PRL-owskiego i romantyzował – czyli niemal dosłownie zamieniał w romantyków – kilka roczników studentów humanistyki.

Już pierwszy tom potwierdzał, że w refleksji nad literaturą nie chodzi o odczytanie dzieła, o klasyfikacje gatunkowe czy lokalizacje historyczne, lecz o połączenie literatury z egzystencją – rozumianą jako konkretna egzystencja autora i badacza, ale również jako horyzont czytania. Olśniewająca, szalona, niemal wariacka antologia tekstów literackich i filozoficznych zawarta w każdym z tomów poszerzała

¹ E. Graczyk, *Od Żmichowskiej do Masłowskiej. O pisarstwie w nadwiślańskim kraju*, Gdańsk 2013.

obowiązki interpretacyjne i zarazem przekonywała, że czytać literaturę to w ostateczności pytać o sens. Wciela się on w dzieło literackie, które jest ekspresją indywidualnej szamotaniny w pułapce egzystencji. Można ową szamotaninę osadzić w porządku epoki literackiej, można odnieść ją do tradycji filozoficznych, ale sens – to, co nadaje zrozumiałość całej wypowiedzi – pozostawał jednostkowy i spełniał się w swojej niesystemowości.

Wielokierunkowa inspiracja nakazywała zmienić, podejście do historii literatury. Transgresja była bowiem alternatywą dla historii pojmowanej konsekwentnie i kumulatywnie. Naczelna kategoria pozwalała ujmować indywidualne poetyki porównawczo, zachęcając do komparatystyki szaleństwa, ale z trudem dawała się zastosować do tworzenia gramatyk poszczególnych epok. Romantyzm – pojmowany jako formacja kulturowa obejmująca wiek XIX i XX – stawał się paroksyzmem mnogich ekspresji, tym trudniejszych do osadzenia w porządku historii, im bardziej indywidualizowanych. Był też romantyzm w tym ujęciu swoistym paroksytonem kultury, przedostatnią odpowiedzią ducha indywidualnego na dzieje ducha zbiorowego. Transgresjami rządził Nietzsche, a nie Hegel, więc figurami dyskursu interpretacyjnego stawały się pojęcia „chwili”, „jednokrotności”, „nieprzechodniości” i „niewspółmierności”. W miejsce historii dialektycznej wchodziła historia spazmatyczna, składająca się z osobnych chwil. Nie było już linearności, znikał postęp przejawiający się w awangardowym geście dekonwencjonalizacji, odchodziła także swoista produktywność literatury rozumiana jako wypracowywanie rozwiązań światopoglądowych i form ekspresji dla problemów życia społecznego.

Podczas jednego z kolokwiów gdańskich Maria Janion mówiła: „W wykładni Foucaulta »transgresja« występuje jako nowa nie-dialektyczna forma myślenia, zmieniająca tysiącletni język dialektyki. W niej to pytanie o granice zajmuje miejsce poszukiwania całości, a gest transgresji zastępuje ruch przeciwieństw”². A zatem myśl transgresyjna nie pyta o całość, lecz o granice, nie dąży do godzenia przeciwieństw, lecz do nieabsolutnego przekroczenia, które łamie zakaz i go podtrzymuje. Doświadczenie transgresji nie jest zakorzenione w przeszłości i nie zawiera projektu przyszłościowego: jest myślą osamotnioną, niepotrzebną, wyizolowaną.

Odpowiednio do tego zmianom powinien ulec styl interpretacji literaturoznawczej. Skoro „[...] transgresja jest chwilą. Mówi się o tym na rozmaite sposoby. Że jest przejściem, a nie stanem. Że jest ruchem, procesem”³, wobec tego badacz staje przed obowiązkiem zachowania procesualności. Interpretacja niedokonana – tak wyglądałby ideał postępowania badawczego. Niedokonana, a więc niedomknięta, akonkluzywna, maksymalnie zbliżona swym językiem do pojęciowości tekstu, przekształcająca słowa i figury poetyckie w doraźne kategorie. Interpretacja dzieła zbliżała się do rozmowy o dziele prowadzonej z dziełem w stylu przez dzieło proponowanym.

Od do

Pierwszym sygnałem wychodzenia poza transgresyjne myślenie o literaturze jest już tytuł książki Ewy Graczyk: od Żmichowskiej do Masłowskiej. Jest więc umowny początek i równie umowny koniec, a ramy te pozwalają nadać całemu wywodowi pewien porządek progresywny. Autorka zgodnie z tym swobodnie (rzec trzeba: nawet beztrzęsliwie i dość niefrasobliwie) przechodzi od epoki do epoki, zyskując zarówno kontekst porównawczy, jak i możliwości osadzenia dzieła w konkretnym momencie historycznym. Po *Ćmie* (1994) – ważnej książce poświęconej Stanisławie Przyby-

² *Osoby*, Wybór, oprac. i red. M. Janion i S. Rosiek, Gdańsk 1984.

³ Tamże, s. 400.

szewskiej – autorka napisała więc książkę quasi-przekrojową, złożoną z osobnych studiów, które łączy luźna siatka pojęciowa.

Książka składa się z jedenastu artykułów, z czego dziewięć dotyczy literatury – pojedynczych dzieł, konstelacji tekstów bądź problemów. Są to kolejno: *Fantazy* Juliusza Słowackiego, *Poganka* i *Książka pamiątek* Narcyzy Żmichowskiej, *Nad Niemnem* Elizy Orzeszkowej, postaci bowaryczne w powieściach Orzeszkowej, *Narcyza* Zofii Nałkowskiej, *Wyspa Róży* Ostrowskiej, *Wojna polsko-ruska pod flagą białą-czerwoną* Doroty Masłowskiej, *Carrie* Stephen Kinga. Do tego dochodzi tekst wspomnieniowy o matce oraz fikcyjna przedmowa do wystawy poświęconej życiu w PRL-u.

Wszystkie te teksty łączy gender – na różnych poziomach komunikacji analizowany (bohaterka, narratorka, autorka, pisarka), starannie odnoszony do metody i inspirująco interpretowany. Nie jest to jednak kobiecość transgresyjna, lecz traumatyczna. Właśnie kategoria traumy odgrywa główną rolę w książce Ewy Graczyk. Można rzecz jasna w serii „Transgresje” znaleźć liczne wypowiedzi, w których trauma się pojawiała, więc różnica nie tkwi w samym wykorzystaniu nowej pojęciowości, ile w sposobie ujęcia.

W „Transgresjach” trauma dotyczyła egzystencji. Była raną wynikającą z antropologicznych ograniczeń egzystencji, z uwięzienia we własnej osobności, ze świadomości śmierci. Nad refleksją transgresyjną gdańskich rozmówców silnie zaciążył Bataille; komentując jego myśl Maria Kalinowska stwierdzała „»Cierpimy z powodu naszego odosobnienia w nieciągłej indywidualności« – pisze Bataille. Wszystkie znane mi jego teksty są próbą opisania najpierw tego odosobnienia, a później prób jego przekroczenia”⁴. A Maria Janion dodawała: „transgresja jest próbą chwilowego wykroczenia poza to uwięzienie, zamknięcie”⁵. Dlatego właśnie transgresja mogła mieć charakter doraźny i nietrwały – nie można bowiem przekroczyć granic antropologicznych na stałe. Ruchem transgresji rządziły naprzemiennie wierność i rewolta, przekroczenie i powrót, jako niedialektyczne potwierdzenie istnienia granicy, która została podważona i podtrzymana. Transgresja nie jest bowiem czystą negacją zakazu, lecz negacją uzupełniającą.

W książce *Od Żmichowskiej do Masłowskiej* trauma jest postrzegana bardzo różnie, ale nigdy czysto egzystencjalnie. Mamy więc traumę hańby kobiecej i narodowej, traumy klęsk powstańczych i popowstaniowego trwania w niewoli, traumę kobiecego uwięzienia w społeczeństwie i społecznego uwięzienia w feudalizmie.

Poranione społeczeństwo

Książka Ewy Graczyk to zatem zbiór studiów na temat traumatyzmów kultury polskiej oraz sposobów ich artykułowania. Trauma odgrywa kluczową rolę w postrzeganiu rozmaitych grup społecznych – od zamkniętych kręgów (zawodowych, klasowych, regionalnych), poprzez grupy definiowane płciowo (polska kobiecość, polska męskość), aż do całej zbiorowości w kolejnych epokach (zaborcy, Dwudziestolecie, historia powojenna, historia potransformacyjna). Historia Polski z jej ciągiem upokorzeń i rozmaitych form uzależnienia łączy się z koncepcją antropologiczną, ponieważ dla Ewy Graczyk podstawową cechą człowieka jest jego ranliwość, jego podatność na zranienie.

Przy takim podejściu przed traumą nie ma ucieczki – wszystko może być ranioną powierzchnią człowieczeństwa, wszystko może być nośnikiem rany i wszystko może służyć powielaniu jej destrukcyjnych skutków. Zarazem antropologia traumatyczna

⁴ Tamże, s. 429.

⁵ Tamże, s. 439.

proceedzi badaczkę do poszukiwania takich dzieł sztuki – albo szerzej: przejawów kultury – które zdolne są przerwać krąg repetycji. Najpełniej o takim rozumieniu relacji między człowiekiem i kulturą świadczy rozpisany w szkicu *Wystawa* plan ekspozycji na temat życia w PRL-u. Zaprojektowana przez Ewę Graczyk wystawa jest niewykonalna, a zarazem porywająca: obejmuje wygłady domów i ulic, ludzkie ubiory i zachowania, przedmioty i jakości życia, fotografie i doznania zmysłowe, mody i stany psychiczne:

„Wystawa ta usiłowałaby pokazywać, jak żyliśmy w Polsce Ludowej w latach czterdziestych, pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, za Gomułki i za Gierka. Ukazywałaby trwałość i zmiany naszego życia, poprzez trwanie i przemiany otaczających nas rzeczy, przedstawień społecznych i słów. Zadaniem muzeum byłoby pokazanie, jak i co w tych latach jedliśmy, jak pisaliśmy i gdzie pracowaliśmy. Ile ludzie zarabiali i na co wydawali pieniądze. Jak wyglądały ulice, domy, mieszkania [...]”⁶.

Czyste szaleństwo wyłaniające się ze szkicu odzwierciedla maksymalizm ewentualnej wystawy. Projekt – w miarę rozpisywania – zamienia się w pościg za metodą, aż wreszcie jasne się staje, że ekspozycja życia w PRL-u musiałaby połączyć sprzeczności: musiałaby być całością tamtego życia i jego selekcją. To połączenie dosłownie zacytowanej rzeczywistości z jej interpretacją, pojednanie mapy pokrywającej cały kraj z pomniejszonym modelem oddaje istotę myślenia o człowieku i kulturze prezentowaną w książce. Spis sporządzony przez autorkę staje się sensowny dopiero wtedy, gdy uznamy, że człowieka nie da się wyabstrahować z rzeczywistości społecznej, gdy postrzegać będziemy społeczne, kulturowe, a także materialne konteksty indywidualnego życia jako współczynniki mentalności. Aby określić, poznać, zrozumieć i wyrazić człowieka – mówi fikcyjna *Wystawa* – należy uwzględnić wszystko.

Jeśli zatem transgresja kierowała interpretatorów raczej ku figurze redukcji, ku kenozis, to badania traumatologiczne zawarte w książce *Od Żmichowskiej do Masłowskiej* stoją pod znakiem kompletowania (niemożliwej) całości, ku drobiazgowości i z drobiazgów poskładanej pleromie.

Zerwania i sieci

Klasyczne reakcje polskiej kultury wieku XIX na traumę zerwania polegały na przyjęciu cierpienia politycznego i zrygoryzowaniu porządku obyczajowego. Klęski powstańcze prowadziły więc do utrwalenia porządku dzielącego społeczeństwo na bogatych i biednych, na mężczyzn i kobiety, na ludzi honoru i gmin. Z tej perspektywy powstania były nie tylko dążeniem do przywrócenia niepodległości, lecz także zapowiedzią restytucji porządku klasowo-genderowego naruszanego przez zaborców czy okupantów.

Można więc zrozumieć niezbyt jasne kryteria selekcji zastosowane przez Ewę Graczyk. Autorka wybrała dzieła, w których odpowiedzią na traumę jest komunikacja. Komunikacja owa przejawia się pod postacią różnych działań: w rodzinie i w mikrowspólnocie jest to łączenie ludzi poprzez pracę; w społeczeństwie – tworzenie węzłów komunikujących osobne grupy czy klasy; w kulturze – splatanie osobnych wątków historycznych. Modelem życia poszukiwanym przez autorkę jest zatem sieć. Przyjrzyjmy się kilku fragmentom (wszystkie pogrubienia – moje):

„Tworząc postać Justyny [w powieści *Nad Niemnem*], opowiadając jej dzieje, Orzeszkowa **wykreowała ważne dla siebie medium**, bardzo znaczące dla jej poszukiwań dróg prowadzących do kobiecej twórczości, do **transformacji** współczesnej sobie sztuki, zwłaszcza zaś do pozycji artysty”⁷.

⁶ E. Graczyk, dz. cyt., s. 221.

⁷ Tamże, s. 67.

„Cała nadzieja – społeczna, egzystencjalna i w jakimś sensie religijna – pisarki związana jest z ciągłością **splotu**. [...] Macierzyństwo nie jest »po prostu« faktem naturalnym, od samego początku jest domeną najważniejszej dla człowieka **mediacji, pracą przenikania się, splatania** tego, co biologiczne, z tym, co kulturowe”⁸.

„Krag ciągłych instrumentalizacji można przerwać, na obrazie natury jako ciągu cykli pokarmowych nie trzeba się wzorować, pragnąc, kochając, tworząc. Powieść Orzeszkowej buduje poetycką utopię, utopię tworzenia i macierzyństwa, **obszar pojednania** matek i nowych artystów (którymi będą również one same) [...]”⁹.

„[Powieść Róży Ostrowskiej jest] może opowieścią o **styku mediumicznego kobiecego podmiotu** z mityczną wielością bytów”¹⁰.

Koncept Ewy Graczyk polega na tym, by w literaturze polskiej – zwłaszcza kobiecej – odnaleźć alternatywną odpowiedź na traumatyczne zerwania narodowe i społeczne, na izolacyjne działanie feudalizmu i klasowości, na segregację płciową. Tą alternatywą okazuje się sieć jako zadanie i jako narzędzie.

Posttraumatycznym zerwaniom przeciwstawia autorka posttraumatyczne sploty. Tworzą je te bohaterki i te pisarki, których wysiłki zmierzają do powiązania polskich osobności. W kontekście „Transgresji” ma to kapitalne znaczenie. Transgresja jest nietrwała i jednorazowa – sieć powstaje na dłużej; transgresja jest indywidualna, sieć – społeczna; transgresja jest doświadczeniem izolacyjnym, tworzenie sieci służy integrowaniu; transgresja przekracza granice, sieć łączy istoty znajdujące się po różnych stronach mnogich granic; transgresja jest nieproduktywna, sieć produkuje komunikację. Patronem transgresji mógłby być Proteusz, bóg zdolny zmieniać swą postać, przekraczający granice własnej tożsamości, a zarazem niezdolny porzucić samego siebie; patronką sieci wyszukiwanych przez Ewę Graczyk mogłaby być Arachne, która rozpoznaje osobność poszczególnych bytów i dostosowuje do ich osobności własną aktywność łączącą. Arachne jest improwizatorką integracji: kiedy naprawia zerwane nici albo snuje sieć nową, tworzy szerszy układ w oparciu o doraźne trajektorie.

Wyznaczając ostre opozycje – które nie uwzględniają rozmaitych aspektów wspólnych – zmierzam ku wskazaniu kluczowej opozycji. W przywoływanych kilkakrotnie *Osobach* Maria Janion dookreśla centralną kategorię w serii metafor związanych z ruchem: „[...] transgresja jest chwilą. Mówi się o tym na rozmaite sposoby. Że jest przejściem, a nie stanem. [...] Ale jakim przejściem? To się wyjaśnia: przejściem-chwilą, przejściem-stratą, a nie przejściem-mediacją”¹¹. Otóż sieć Ewy Graczyk o tyle sytuuje się na antypodach myślenia transgresyjnego, że właśnie mediacji służy.

Wcześniej zacytowane fragmenty książki *Od Żmichowskiej do Masłowskiej* dowodzą, że autorka posługuje się podwójną charakterystyką medium, widząc w nim pośredniczenie i samodzielność. Medium nie jest w rozważaniach Ewy Graczyk transparentną i obojętną przestrzenią połączenia, lecz odrębną, choć zarazem włączoną w proces istotą: to kobieta, która przydziela zadania domownikom; albo dziewczyna, która wypracowuje język porozumienia z naturą; albo pisarka, która splata świat męski i kobiecy. Medium służy pojednaniu, ale nie podlega instrumentalizacji, pośredniczy, lecz także działa, łączy przeciwieństwa, pomagając innym, lecz zarazem tworzy i rozwija samo siebie.

⁸ Tamże, s. 73.

⁹ Tamże, s. 101.

¹⁰ Tamże, s. 161.

¹¹ *Osoby*, dz. cyt., s. 400.

Takie pojmowanie mediacji staje się pryzmatem epistemologicznym, poprzez który autorka postrzega pojedyncze istoty. Istoty owe rozpoznają swoje położenie wśród innych i wypracowują sieci połączeń. Dysponują tyloma możliwościami arachnologicznymi, ile mają właściwości: sieć powstaje dzięki pracy, twórczości artystycznej, pełnieniu funkcji społecznych, lecz także dzięki cielesności, seksualności czy nawet wyborom dietetycznym. Mediacja to relacja, a skoro tak, to myślenie mediacyjne prowadzi ku odkrywaniu relacyjnego – nieosobnego, nieodizolowanego – istnienia w świecie.

Odsłonięcie tej innej możliwości bycia – bycia ku innym, z innymi, lecz zarazem bycia sobą (to dlatego autorka nadała tak zaskakujący tytuł esejowi o Nałkowskiej – *Stać się sobą*) jest kapitalną wartością książki Ewy Graczyk. Trop mediacyjny wykorzystany przez autorkę to nie tylko pomysł na odczytanie konkretnych dzieł, lecz także propozycja interpretacyjna w odniesieniu do całej polskiej kultury. Chodzi przecież (można powiedzieć: nareszcie!) o nieinwazyjne łączenie, o wyszukiwanie związków między różnymi fabułami, między książkami i biografiami autorek, między twórczością i literaturą jako instytucją. Ale sieciowanie dotyczy także wielorakich (zaborowych, klasowych, ekonomicznych, płciowych, seksualnych) zerwań i wytwarzanych przez nie traumatyzmów. Ewa Graczyk szuka w kulturze polskiej artystycznych mediacji zdolnych połączyć istoty osobne, odizolowane, poranione. W tej propozycji podstawową możliwością sztuki – zapoznanym jej walorem – jest takie wypowiedzianie traum, aby artykulacja nie reprodukowała struktury społecznej, która ranę zadaje.

Podejście zaproponowane przez badaczkę nie unieważnia granic. Granice nadal istnieją, a nawet ulegają pomnożeniu. Ograniczenia jednostkowe okazują się jednak uwarunkowane podziałami, które przebiegają między ludźmi – podziałami o charakterze ekonomicznym, klasowym czy płciowym. Dlatego Ewa Graczyk wymieniła transgresję na mediację, a spazm jednostkowego przekroczenia na tkanie społecznych sieci. Jest w tej metodzie niewątpliwie coś z klęski, bo granice okazują się nieusuwalne i nieprzekraczalne. Ale jest w tej propozycji również coś z ożywczego uwolnienia, bo mit transgresyjny zamienia się w mit arachnologiczny – w logikę tkania sieci, która połączy istoty zgromadzone po przeciwnych stronach.

Transgresję spowijał nimb arystokratyczny, choć ów arystokratyzm wynikał ze straceńczej suwerenności ducha. Ewa Graczyk wymyśliła mediację egalitarną. W mediacji tej granice trwają, ale można je zasnuć siecią połączeń. Zostaliśmy więc zaproszeni do utopii pajęczej, w której każdy na zmianę i równocześnie jest węzłem, nicią i pajakiem.

Przemysław Czapliński (ur. w 1962 r. w Poznaniu) – historyk literatury XX i XXI wieku, eseista, tłumacz, współtwórca Zakładu Antropologii Literatury (UAM Poznań). Ostatnie publikacje: *Polska do wymiany* (2009), *Resztki nowoczesności* (2011), *Literatura ustna* (2011), *Kamp. Antologia przekładów* (współredaktor: A. Mizerka, 2013), *Poetyka migracji* (razem z Renatą Makarską i Martą Tomczok, 2013).

Biała partyzantka w nadbałtyckich lasach

W trzech krajach nadbałtyckich (Litwie, Łotwie i Estonii) partyzantów antysowieckich nazywano: Leśni Bracia. Nosili oni odpowiednio nazwy: litewskie – miškobroliai, miškiniai, partizanai, žaliukai; łotewskie – mežabrāļi i estońskie – metsavennad.

Walczyli z sowieckim okupantem od połowy roku 1944 do... właśnie, do kiedy? Jaka jest data graniczna? Na tak postawione pytanie nie da się jednoznacznie odpowiedzieć, przyjmuje się, że do trochę więcej jak połowy lat pięćdziesiątych, kiedy w Polsce przeżywalismy odwilż gomulkowską. Łotysze, Litwini i Estończycy najdłużej krwawili w Europie i zbrojnie zaświadczyli, że bałtyckie narody bez walki, i tym samym bez licznych ofiar, nie poddadzą się brutalnej sowietyzacji. Ogólnie rzecz biorąc, wraz z posuwaniem się na zachód Armii Czerwonej, od później wiosny 1944 na obszarach krajów bałtyckich narastał zdeterminowany opór wobec wkraczającego po raz kolejny na rodzimą ziemię agresora. Nikt w krajach bałtyckich nie miał złudzeń, jaki los szykują Bałtom Sowietci.

Powiedzmy, że narody bałtyckie, zwłaszcza Estończycy, posiadały długą tradycję walk partyzanckich, datującą się co najmniej od XVII stulecia. Kto krył się w lesie? W pierwszym okresie byli to żołnierze miejscowych formacji walczących po stronie Niemców, którzy nie zdołali wycofać się na Zachód, ludzie zagrożeni represjami z racji swoich wolnościowych przekonań, pochodzenia społecznego lub działalności antysowieckiej¹. Następnie młodzi mężczyźni, którzy w rodzimych lasach z bronią w ręku, w leśnym oddziale poszukiwali, jeśli nie azylu, to choćby nadziei przed służbą w Armii Czerwonej, a ostatecznie możliwości honorowej śmierci.

Masowo do antysowieckiej partyzantki garnęli się na Litwie, zagrożeni przymusową kolektywizacją, chłopci. Stanowili 80% członków Leśnych Braci. Ogólną i odgórną zasadą, jaką kierował się agresywny sowiecki okupant było: „Bij Hansa – faszystę!“. Niepokornych Litwinów, Łotyszy i Estończyków utożsamiano z Niemcami i faszystami, jeszcze dziś można na niektórych odrapanych murach, np. w Rydze, napotkać relikty czasów nienawiści, slogan-wezwanie napisany po rosyjsku: „Gromcie – Towarzysze – Hansów!“.

Zacznijmy naszą prezentację od Litwy. Już w końcu lipca, w sierpniu 1944 w leśnych powiatach Jeziorosy, Troki, Uciana, Poniewież, Wiłkomierz, Olita pojawiają się pierwsze partyzanckie oddziały. W krótkim okresie i na ograniczonym obszarze partyzancką walkę z sowieckimi oddziałami podjęli również Polacy. Tylko dla porządku przypomnę, że istotnie na Wileńszczyźnie jesienią 1944 Armia Krajowa odbudowała swoje leśne oddziały, ale na krótko i na ograniczoną skalę, praktycznie polski opór w formie partyzantki zanika jesienią 1945, na co wpłynęło masowe przesiedlenie znacznej części polskiej ludności za Bug.

Na Litwie, wśród rozległych lasów i bagien oraz patriotycznie nastawionej ludności wiejskiej, w przeważającej części czystej etnicznie, działalność partyzantów trwała najdłużej. W puszczech i lasach kraju Dzuków², w Puszczech Łabonarskiej

¹ W przypadku Litwy byli to między innymi: skompromitowani funkcjonariusze Saugumy – policji politycznej, policji porządkowej współpracujących z Niemcami, członkowie aparatu tzw. samorządu, członkowie oddziałów Vietinē Rinktinē, członkowie Związku Strzelców Litewskich.

² Lit. Dzūkija, dawniej nazywana Litwą Południową. Region Litwy po obu brzegach środkowego Nie-

i Rudnickiej, w Puszczy Zielonej, w lasach koło Kozłowej Rudy i koło Taurogów oddziały partyzanckie dzięki sprzyjającym warunkom rozrosły się do jednostek liczących do kilku setek zbrojnych. Partyzanci tworzyli swoiste partyzanckie republiki, warowne obozy³, całe fortece, z ziemiankami, z kaplicami, ze szpitalami, rusznikarniami, z polową poligrafią, imponującym zapleczem gospodarczo-szkoleniowym. Byli skuteczni, bo byli u siebie, znali doskonale warunki terenowe, ich dowódcy byli zaprawieni w bojach, bywali dobrze uzbrojeni, walka partyzancka kreowała doskonałych dowódców. Dlatego w okresie 1946 do 1949, w szczytowym okresie zmagania, to okupanci ponosili większe straty niż leśne oddziały litewskie. Znaczne obszary wiejskie, te w okolicach mocno zalesionych i bagnistych, z dala od stolicy, o słabszej infrastrukturze drogowej, były wyłączone na całe miesiące spod jakiejkolwiek kontroli okupanta. Zbrojny opór, jaki toczyli Litwini z okupantem sowieckim, najpierw z oddziałami frontowymi, a następnie z siłami NKWD, spowodował masowe represje i ogromne straty wśród ludności cywilnej. Przyjmuje się, oczywiście szacunkowo, że w okresie 1945-1953 w walkach i na skutek represji zginęło ponad 20 tysięcy osób, co stanowi blisko 1,5% całości populacji narodu litewskiego, upust krwi naprawdę porażający, uwzględniając straty, jakie poniósł naród litewski podczas II wojny światowej, jakże często w walkach o charakterze bratobójczym. Obok regularnego wojska do bardzo okrutnego zwalczania i pacyfikacji całych wsi sowieci skierowali specjalne oddziały, w tym oddziały prowokacyjne, podszywające się pod partyzantów. Pierwszą taką fałszywką był oddział, który szybko zyskał sobie ponurą sławę. Był to bardzo skuteczny oddział majora Sokołowa, utworzony w sierpniu 1944, składający się z dwudziestu ludzi, w tym niestety siedmiu litewskich renegatów, świetnie znających teren, język, mentalność miejscowej ludności. Sami wypróbowani towarzysze-czekiści, zręcznie udający partyzantów także zewnątrz: brody, długie włosy, mundury przedwojennego litewskiego wojska; ludzie im ufali. Oddział Sokołowa operował w okolicach Wilna, stworzył podległe filialne oddziały na innych terenach. Słabością ruchu partyzanckiego w pierwszym okresie było jego rozbitcie, praktycznie każdy dowódca partyzancki działał na swoim terenie według własnego uznania. Gdy dochodziło do wykonania jakiejś większej akcji, poszczególni komendanci łączyli doraźnie swoje siły, a po wykonaniu zadania znów każdy na swoim poletku rzepkę sobie skrobał. Ale w warunkach wojny podjazdowej taka swoboda miała także swoje dobre strony. W tym okresie działały trzy organizacje partyzanckie: Armia Wolności Litwy (LLA), Związek Litewskich Partyzantów (LPS) i Związek Wyzwolenia Litwy (LLS). W lutym 1949 udało się powołać Ruch Walki o Wolność Litwy – Lietuvos Laisves Kovos Sąjūdis. To ciało stworzyło struktury terenowe, podzieliło kraj na 3 obwody: Wschodni, Zachodni, Południowy; obwody dzieliły się na 2-4 okręgi, a te z kolei na zgrupowania polowe w liczbie od 2 do 4. Zasadniczym celem LLKS była walka o odrodzenie wolnego, w pełni suwerennego państwa litewskiego ze stolicą oczywiście w Wilnie, ale znacznie zreformowanego, w pełni demokratycznego, i dziś byśmy powiedzieli opiekuńczego. Ze względów czysto proceduralnych dopuszczano do czasu czteroprzymiotnikowych wyborów prawomocność przed-smetonowskiej demokratycznej Konstytucji z roku 1922. Na czele armii podziemnej stanął utalentowany dowódca, były kapitan sztabu generalnego Armii Niepodległej Litwy, Jonas Žemaitis (1909-1954), ps. Vytautas – Witold.

mna. Konserwatywni Dzikowie do dziś zachowali swój b. charakterystyczny dialekt i liczne odrębności obyczajowe.

³ Jednym z najlepiej zachowanych i najlepiej eksponowanych jest odrestaurowany obóz partyzancki – rodzaj skansenu – w Januliškis w Puszczy Łabonarskiej. Polecam, dojazd świetnie oznakowany i zagospodarowany.

Sowieci też odnosili sukcesy. Coraz intensywniej zaczęły przeczesywać lasy oddziały tzw. striebai, nazwa wywodząca się z rosyjskiego *istriebitiel*, specjalnych formacji NKWD, złożonych z Mongołów i Turkmenów. Pijani „bojcy” strzelali do wszystkiego, co się porusza.

Ostatecznie kościec LLKS udało się złamać Sowiecom w latach 1952-1953. Decydującym ciosem stało się aresztowanie 23 maja 1953 roku legendarnego partyzanckiego generała armii podziemnej – Jonasa Žemaitisa. Bohaterskiego generała przewieziono do Moskwy. Tutaj został poddany okrutnemu przesłuchaniu, nie załamał się, odmówił współpracy, został rozstrzelany 26 listopada 1954. Po jego aresztowaniu dowódcą LLKS został jeden z bardziej wyrazistych dowódców polowych, Adolfas Ramanauskas (1918-1957), urodzony w Ameryce, oficer rezerwy i poprzednio nauczyciel z Olity, ps. Vanagas – Jastrząb. Ramanauskas został ujęty i rozstrzelany. Po ujęciu tego ostatniego w podziemiu zachowało się około 200 czynnych partyzantów. Od tego momentu partyzanci dosłownie schodzą do podziemia, oddziały idą w rozsypkę, pojedynczy partyzanci ukrywają się po bunkrach. Litewska pomysłowość w budowaniu, maskowaniu bunkrów była wprost niewyobrażalna. Bunkry powstają w lasach, na stromych zboczach, pod chlewami, w sadach, pod klepiskiem w stodole, pod zbiornikiem gnojownicy, w kurnikach, w beczkach zakopanych w bagnie, w studniach, partyzanci ukrywają się na strychach, za piecami, w kopcach kartofli, na cmentarzach, niektóre bunkry były prawdziwymi podziemnymi zamczyskami przysypanymi parometrową warstwą ziemi, itd.

Jednak rozpacz, zdrada stawały się często przyczyną śmierci partyzantów; ktoś podrzucił zatruty pokarm, ktoś posłał po czekistów, osaczeni ostatnią kulę pozostawiali dla siebie, kierując się przysięgą: „Żywcem mnie nie dostaną”, profetycznie też partyzanci-desperaci podśpiewywali: „Zginieśmy, bracia, bo taki jest nasz los”.

Jednym z ostatnich Leśnych Braci był działający, a raczej ukrywający się w okolicach Uciany, w obwodzie północnym, Antanas Kraujėles, który otoczony nie poddał się i zastrzelił 10 marca 1965. Jeszcze, tego samego roku, 15 lipca, pod Kretyną w walce poległ Ignas Končius, ostatni partyzant okręgu Żmudź. Jednym z weteranów o najdłuższym stażu w ruchu partyzanckim na Żmudzi był Pranas Končius-Adomas, który poległ w boju 6 lipca 1965, a w szeregi Leśnych Braci wstąpił już w roku 1944. Przez 33 lata Leśny Brat, Stasys Giuga, partyzant z obwodu „Vytautas”, ukrywał się we wsi Činčikai, w rejonie nowoświęciańskim, nikt go nie wydał, zmarł wolny w roku 1986. Litwini oceniają, że w pierwszym dziesięcioleciu walk partyzanckich, tj. 1945-1955, w bezpośrednich walkach po stronie partyzanckiej wzięło udział około 50 tysięcy osób. Na Syberię zesłano 40 tysięcy rodzin, tj. blisko 120 tysięcy osób. Aresztowano około 186 tysięcy osób, 143 tysiące deportowano do gułagów.

Reasumując, walkę Litwinów zarówno w stopniu ograniczonym przeciw okupacji niemieckiej, jak i przede wszystkim przeciw Sowiecom prowadziła Litewska Armia Wyzwoleńcza z ciałem dowódczym, polityczną emanacją oporu narodu, a od roku 1943 dowodził tą walką Najwyższy Litewski Komitet Wyzwolenia, w latach 1943-1945 kierowany przez Steponas Kairy (1879-1964).

Ścisłe datując, dowódcami wojskowymi ruchu oporu byli odpowiednio: od 10 lutego 1949 do stycznia 1950 Jonas Zemaitis (1919-1953), od stycznia 1950 do lutego 1953 Adolfas Ramanauskas (1918-1957), znowu od lutego 1953 do 30 maja 1953 Jonas Zemaitis (po raz drugi), a od 30 maja 1953 do 12 października 1956 ponownie Adolfas Ramanauskas.

O ile nieliczne, ale jednak dostępne są u nas opracowania, dotyczące ruchu partyzanckiego na Litwie, to dwa pozostałe kraje bałtyckie w tej mierze pozostają

terra incognita. Skierujmy naszą uwagę na sąsiednią Łotwę. Na ziemię łotewskie Armia Czerwona wkroczyła wczesnym latem 1944, a tuż za oddziałami frontowymi postępowały pacyfikacyjne jednostki NKWD.

Oczywiście w pierwszym rządzie zbrojny opór stawili legionieści⁴. Wycofujący się Niemcy byli bardzo zainteresowani podsycaniem ruchu oporu na tyłach sowieckich. To oni dla pierwszych oddziałów bądź dostarczyli drogą lotniczą, bądź pozostawili w wyznaczonych punktach uzbrojenie, amunicję, środki wybuchowe, środki łączności, itp. Dzięki wsparciu niemieckiemu powstał oddział partyzancki, liczący w różnych okresach od 600 do 1000 ludzi, pod dowództwem Borisa Jankavsa, ps. Leśny Kot. Innym przykładem niemieckiej działalności była organizacja nosząca nazwę „Organizacja Łotewskich Partyzantów Narodowców” licząca do 1500 osób, kierowana przez Teodora Jansonsa. W latach 1945-1946 legionieści stanowili 50-70% wszystkich partyzantów, w tym czasie na całej Łotwie operowało średnio 4000-6000 partyzantów, z czego w leśnej Kurlandii (lesistość tego regionu Łotwy wynosi 60%) około 2500. Właśnie w Kurlandii, w bardzo sprzyjających warunkach naturalnych i etnicznych, przepastne lasy, rozległe bagna i niski współczynnik ludności napływowej, tym samym wysoki współczynnik patriotyzmu, w rejonie Ventspils, skutecznie i na szeroką skalę działała grupa „Cichy Las”, a w rejonie Zlēkas grupa dowodzona przez „Czarnego Piotra”. W tym okresie Leśni Bracia, zresztą podobnie jak większość narodu łotewskiego ludziła się interwencją mocarstw zachodnich. Partyzanci dosyć skutecznie paraliżowali dostawy ze wsi na rzecz okupanta. Oprócz walki zbrojnej Leśni Bracia prowadzili akcje propagandowe. Stosowali tak zwaną propagandę szeptaną, wydawali gazetki, dosyć regularnie, np. szeroki zasięg miała w roku 1945 gazeta podziemna „Ojczyźnie i Wolności”, bardziej lokalny – gazeta wydawana w rejonie Madony przez tamtejszego dowódcę partyzanckiego Kārlisa Plaudegę, pt. „Miecz”.

Na terror okupantów partyzanci odpowiadali terrorem wobec funkcjonariuszy władz i kolaborantów. Wkrótce w poszczególnych rejonach kraju wyrosli samodzielni i bardzo energiczni lokalni przywódcy ruchu oporu. Na przykład w Łatgalii walczył bohatersko i skutecznie Pēters Aivars Supe, ps. Bojownik, który dowodził zgrupowaniem o nazwie „Jednostka Łotewskich Partyzantów Nacjonalistów”, w której skład wchodziło 10 jednostek. Łącznie w rejonie Balvi i Abrene jednocześnie w polu walczyło ponad 1000 partyzantów. W rejonach o najintensywniejszym nasileniu ruchu partyzanckiego, takimi jak rejony: Abrene, Valka, Ludza, Cēsis, Rēzekne, w latach 1944-1945 doliczono się ponad 130 większych akcji partyzanckich. Jesienią 1945 w Łatgalii powstaje kolejne duże zgrupowanie partyzanckie pod nazwą „Jednostka Łotewskich Obrońców Ojczyzny”, która koncentruje swoją działalność w południowych i zachodnich częściach regionu. Tą jednostką dowodził ksiądz Antons Juhņevičs, ps. Samotnik⁵, a jego zastępcą był zawodowy wojskowy porucznik Kārlis Blūms-Blumhens, ps. Mister. Bardzo znaczące wydarzenia miały miejsce w Vidzeme w leśnym pasie od Valka do Cēsis. Otóż tutaj walczył oddział dowodzony kolejno przez trzech braci Rusovs: Kārlisa, Jānisa i Pētersa. Gdy jeden z braci padł w boju, dowodzenie oddziałem przejmował następny z braci. W pierwszym okresie walk partyzanckich, cezura czasowa do 1 stycznia 1946, zginęło w boju ponad 1000 partyzantów, około 3000 zostało rannych albo wskutek zdrady dostało się w sowieckie łapy. Pojmani zostali albo rozstrzelani, często bez sądu, lub dostali odroczenie wyroku – zostali zesłani na Syberię. W roku 1946 do walki z partyzan-

⁴ Leģionāri, żołnierze łotewskich dwóch jednostek Waffen SS: 15 Dywizji „Lettland” i 19 Dywizji „Latvia”.

⁵ Urodzony w roku 1905, absolwent katolickiego gimnazjum w Aglonie, seminarium duchownego w Rydze i KUL-u, wyświęcony na kapłana w roku 1933.

tami władze okupacyjne kierują coraz częściej liczne oddziały tak zwanych „strebi” albo „strebuków”, jednostki wyselekcjonowane Baszkirów i Tatarów, pałających nienawiścią do „białych”. W latach 1946-1948 miała miejsce kulminacja akcji partyzanckich. W tym czasie Sowietów nasilają represje, rozpoczynając przymusową kolektywizację. Tysiące zdesperowanych chłopów ucieka do lasu, rozpoczynają się masowe deportacje i przesiedlenia. W tym okresie w lasach z bronią znalazło się od 10 000 do 15 000 ludzi, a tych, którzy zaopatrywali walczących w żywność, ubrania, środki opatrunkowe nie sposób policzyć. Szacunkowo przyjmuje się, że w tym okresie co najmniej 1% całej ludności Łotwy brał bezpośredni udział w ruchu oporu⁶.

Nasilił się ruch partyzancki w Kurlandii, w tym regionie od 1946 do 1948 odnotowano co najmniej 150 dużych akcji partyzanckich. W roku 1948 miała miejsce regularna, trwająca parę dni, bitwa w rejonie Dundaga. Przeciw silnemu zgrupowaniu partyzanckiemu okupant skierował zmasowane jednostki pancerne, artylerię i samoloty, zupełnie jak na froncie. W tym czasie również miała miejsce aktywizacja ruchu partyzanckiego w Zemgale, również w Łatgalii partyzanci odnotowali spektakularny sukces. Na krótko zajęli duże miasto, znaczący węzeł komunikacyjny, serce Łatgalii, rejonowe miasto Rēzekne – pol. Rzeżyca, a w rejonie Madony sukcesy w walce z okupantem odnotowała wspomniana już wcześniej, zaprawiona w partyzanckich bojach, „Jednostka Łotewskich Obrońców Ojczyzny”, dowodzona wówczas przez Krēmers’a. Podobnie nastąpiło nasilenie działań partyzanckich w północnym Vidzeme, przy czym w rejonie Valka współdziałał z partyzantką estońską oddział pod dowództwem Kārļa Musinsa, ps. Kārlis. Niestety, podobnie jak na Litwie, partyzanci łotewscy z różnych względów nie stworzyli jednolitego dowództwa obejmującego cały kraj. Pierwszą znaczącą próbę konsolidacji podjęto w rejonie Zlēkas, w Kurlandii 26 sierpnia 1945, i nadano jej poetycki kryptonim: „Święto Pieśni”. W tym spotkaniu wzięli udział przedstawiciele z 60 dotąd samodzielnych oddziałów partyzanckich. Sukces był połowiczny, o czym świadczy fakt, że w roku następnym identyczną próbę scalenia ruchu partyzanckiego podjęto w Vidzeme. W tym samym czasie Sowietów zrealizowali udaną prowokację wobec partyzantów. Udało im się do jednego z oddziałów operujących w Kurlandii wprowadzić agenta, który podał się za angielskiego łącznika. Prowokator zwabił do Rygi pod pretekstem rozmów scaleniowych 16 wysłanników z partyzanckich oddziałów. Oczywiście w Rydze zostali aresztowani i zesłani na Syberię. Ośmielony tym sukcesem okupant zaczął coraz intensywniej i na szerszą niż dotąd skalę stosować metody prowokacji, powołał specjalne oddziały podszywające się pod partyzantów, których zadaniem było sianie terroru wśród ludności wiejskiej i zniechęcanie ludności cywilnej do pomocy partyzantom.

W trzecim etapie wojny partyzanckiej od roku 1949 do połowy lat pięćdziesiątych działania partyzanckie wyraźnie osłabły. Głównym powodem i ciosem załamania się aktywności partyzantów stała się okrutna i masowa deportacja chłopów na Syberię w dniach od 23 do 25 marca 1949.

Masowe deportacje objęły około 50 000 osób, podobne deportacje w tym samym czasie i na taką skalę miały miejsce w Estonii i na Litwie.

Partyzanci tym samym stracili naturalną bazę wsparcia w chutorach. Jednocześnie władze ogłosiły amnestię, wielu bojowników zrozumiało, że na interwencję mocarstw zachodnich nie ma co liczyć. Kolejny raz Łotwa została pozostawiona sama

⁶ Trzeba przypomnieć, że niektórzy zewnętrznii badacze oceniają skromniej liczbę uczestników zbrojnego oporu. I tak badacze skandynawscy szacują liczbę Leśnych Braci na Litwie na 30 tysięcy, na Łotwie na ponad 10 tysięcy, a w Estonii na około 10 tysięcy.

sobie. Partyzanci zaczęli odczuwać brak amunicji, wykrwawiali się w kolejnych potyczkach, oddziały okupacyjne praktycznie nieustannie przeczesywały lasy. W tym końcowym dramatycznym okresie dochodzi do większej bitwy w lutym 1950 koło Okte, w wyniku której duży, liczący 50 ludzi oddział Leśnych Braci zdołał przebić się przez okrażenie. W tym roku partyzanci wyeliminowali tylko w rejonie Daugavpils-Dyneburga około 500 komunistów i żołnierzy Armii Czerwonej. Swą bohaterską walkę kontynuował oddział dowodzony przez już legendarnego dowódcę Kārlisa Musinsa. Jednak stopniowo działania partyzanckie ustawały, wygasały leśne ogniska, kończył się jawny opór z bronią w ręku. Kończącym akordem był szeroko rozpropagowany w prasie, w radiu, na plakatach – w dniu 11 stycznia 1956 apelu władz, skierowany do ostatnich Leśnych Braci z wezwaniem do poddania się i z bałamutną deklaracją, że nie poniosą kary.

Ocenia się, że podczas walk, trwających z różnym nasileniem przez dziesięć lat, strona okupująca straciła ponad 2000 ludzi. W celu bezpośredniego zwalczania partyzantki narodowej na Łotwie Sowietci skierowali 30 tysięcy wyborowego wojska z wyposażeniem frontowym. Już w roku 1947 Państwowy Komitet Bezpieczeństwa (KGB) ogłosił, że na samej Łotwie, jak się wyrażono eufemistycznie, zneutralizowano 22 548 bandytów faszystowskich, w tej liczbie zabito 12 753 członków zbrojnego podziemia, był to upust krwi dla tego nielicznego narodu katastrofalny. Opór partyzantów tlił się do roku 1956, taką datę końcową ruchu Leśnych Braci na Łotwie przyjmują łotewscy badacze przedmiotu.

Pozostała nam do omówienia Estonia⁷. Kraj najbardziej tajemniczy i przez naturę doskonale ukształtowany do działań partyzanckich. Pod tym kątem było przemyślane działanie partyzantki: ataki na posterunki milicji, mleczarnie, punkty kontraktacyjne, banki, poczty, do tego dochodziła wytrwała agitacja antysowiecka i bezwzględne wykonywanie wyroków śmierci na zdrajcach. Te działania miały wytworzyć poczucie „tymczasowości” u reprezentantów władz okupacyjnych. Właśnie to dojmujące poczucie zagubienia, niepewności, ogólnej wrogości całego otoczenia, plus ogromne ciemne lasy i wielkie bagna, jakiś smutek stale obecny w krajobrazie estońskim, a także język, zupełnie obcy, niewiarygodnie trudny dla Słowian, były najlepszymi atutami Leśnych Braci w walce z okupantem. Poza tym jednym taktycznym aspektem, ruch oporu w Estonii, walka partyzancka niczym szczególnym nie odróżniała się od dwóch poprzednio omówionych ruchów i krajów. W sensie mentalnym u Estończyków silniej było zakorzenione przekonanie, że bolszewika da się pobić. Już raz Estończycy tego dokonali, dlaczego ma się nie udać po raz drugi? Po zdobyciu Narwy, 26 lipca 1944, Armia Czerwona wkroczyła na tereny rdzennie estońskie. Jeszcze wcześniej, bo już w styczniu tego roku kolaborujący z Niemcami samorząd estoński ogłosił totalną mobilizację roczników 1904-1923. Liczono się z możliwością powtórki z historii, z drugą zwycięską wojną narodową-wyzwoleńczą: vabadussõda, z lat 1918-1920. Estończycy musieli podjąć walkę, tym bardziej że za oddziałami frontowymi postępował osławiony kontrwywiad Armii Czerwonej – Smiersz. Rozpoczęły się na szeroką skalę aresztowania i wywózki. Identycznie jak na Litwie i na Łotwie estońscy Leśni Bracia w pierwszym okresie nastawiali się na przeczekanie, liczyli się z wybuchem III wojny światowej.

⁷ Więcej informacji o estońskich Leśnych Braciach można znaleźć w pracy Marta Laara (historyka i premiera, twórcy estońskiego cudu gospodarczego) wydanej w Tallinie w roku 1993, właśnie pod tytułem *Metsavennad*. Wydanie angielskie nosiło tytuł *Wojna w lasach*. W początkowym okresie szeregi Leśnych Braci w znacznej mierze tworzyli członkowie Omakaiste – Samoobrony, zbrojnego ramienia kolaborującego z Niemcami estońskiego samorządu, marionetkowej struktury powołanej przez Niemców już we wrześniu 1941, ochotnicy (Eesti Leegion) estońscy z 20 dywizji Waffen-SS „Estland”.